11. lipca. Nr. 20. Rok 1861.

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1. 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Dominikańskiej Nr. 169. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena preunumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt. półrocznie 2 zł. 20 cnt. ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Za piękne, nadobne.

Nie wywołuj wilka z lasu!

U państwa * * zjechało się na objad kilka osób z sąsiedztwa. Uprzejma gospodyni domu i szanowny gospodarz bawili z gośćmi w salonie i rozmawiano — rozprawiano o światłach i cieniach, które po horyzoncie politycznym snuły się właśnie. Z szczególnem zajęciem słuchano zdrowego sądu i prawego zdania jakiegoś już w podeszłym wieku mężczyzny skromnych nader pozorów, w paletocie bronzowym, nieco już znoszonym i w butach z grubą podeszwą.

Właśnie skończyła się nader żwawa o kwestyi rzymskiej dyskusya, gdy przede dwór śliczny zajechał karykiel; para anglezowanych koni karych, o małych nóżkach i kształtnych główkach parskała szeroko rozwartemi nozdrzami, dumnie wyrzucając karki; służba w liberyi szafirowej i kamaszach piaskowych, uzupełniała elegancyą ekwipażu.

— Pan Ademar! zawołano, i gospodarz się podniósł, by wyjść na powitanie gościa.

— Pan Ademar — powtórzył któryś z obecnych panów, pan Ademar N*, dawniejszy Adaś, czyli Adamek.

— Mar było mu potrzeba, wtrącił ktoś drugi, i zaśmiali się wszyscy.

Z karykla wyskoczył przystojny młodzik, blondyn, z małym wąsikiem i bródką, biały, blady, wypieszczony, obrazkowo podług ostatniej ubrany mody.

— Bon jour! Bon jour! zawołał, podając rękę panu * *, wzutą w skórkę jasną, glansowaną.

— Witam, panie Ademarze.

— Pardon, przybywam o godzinie niewizytowej...

— Cotam, niewizytowej! Proszę ciebie, i wprowadził go do salonu.

— Madame, votre serviteur — pokłonił się przybyły pani domu, c'est une heure indue do wizyt, ale...

— Nam o każdym czasie gość miły, odrzekła pani * * uprzejmie.

— Zjesz z nami objad, a to właśnie gospodarstwu dogadza, dorzucił pan domu.

— Objad? Pardon! Ależ do objadu jeszcze daleko, a mam być na herbacie u księcia Karola. Excusez.

— Nie, nie, objad niezadługo: jadamy sobie, ot po szlachecku, o godzinie drugiej.

— Excusez madame. — Dandy rzucił się na fotel obok kanapy, na której pani * * siedziała, postawił obok na krześle kapelusz panama, wyciągnął wygodnie nóżki w ślicznych trzewikach francuskich, rozpiął jeden guzik u rękawiczki na prawej ręce, dobył batystową chusteczkę pełną woni najwyborniejszego Jockey-Klubb, machnął nią z elegancyą i mówił dalej:

— Nous avons fais nuit blanche u hr. Anatala, i po śniadaniu wyjechałem, il était à peu-près godzina jedynasta.

— To pan szybko bardzo jechałeś, bo do Stawnik liczymy mil pięć, a jest dopiero pół do drugiej.

— Wysłałem moje konie na pół drogi, a hrabia odesłał mnie swojemi. Jeżdżę zwykle tak szybko; c'est ma manière — i rozsiadł się wygodniej, rzuciwszy z góry wejrzenie na drugich gości, którzy stojąc opodal dalej swoją prowadzili rozmowę.

— Któż są ces messieurs? zapytał dandy, pochylając się ku gospodyni domu.

— Sąsiedzi nasi: pan R., pan S. i pan T. — Czy pan ich nie znasz, wszakżeż niedalekim jesteś ich sąsiadem?

— Nie znam nikogo.

— Czy pan chcesz być przedstawionym tym panom?...

— Oh, merçi, madame! — skrzywił się panicz. Nie lubię mieć dużo znajomych: to czasem niewygodną jest rzeczą. — A propos madame, hrabianka Z. idzie wreszcie za księcia Euzebiusza *, pani już słyszałaś?

— Nie.

— Voilà!... Gdym był w Paryżu, hrabianka podobała się wówczas dosyć na balu w Tuillerjach. Morny tańczył z nią kadryla, a książę Napoleon mi szepnął: że jej w girlandzie w wigietów wcale jest do twarzy, i to zajęło księcia Euzebiusza. Księżna * * * jej ciotka nie bywała u dworu, tylko w salonach na Faubourg St. Germain: dwór Napoleoński był jej za nadto porweniuszowski. Dziwiła się zawsze, że nous autres tak tam bywać lubimy. Dziś, po latach dwóch, hrabianka Z., passez moi l' expression, już z pola schodzić zaczyna, romans trwał dość długo. Mówiłem też właśnie do księcia Karola...

— Na stole! — oznajmił lokaj.

Pan Ademar podał rękę gospodyni domu i usiadł obok niej; odwrócił się z pewnym rodzajem impertynencyi od sąsiada. i tylko z nią jedną rozmawiał. Naprzeciw niego usiadł jegomość w bronzowym paletocie i rozmowa panów przeszła po raz drugi na pole kwestyi politycznych, i znowu ów wyżej wspomniany jegomość w niej zdaniem przewodził swojem.

Po chwili zapytał dandy panią domu:

— Któż jest cet individu rezonujące, w wytartym paletocie?

Idywiduum rezonujące snać posłyszało to zapytanie, bo po twarzy jego przemknął się lekki uśmiech pogardy.

— Jest-to pan G., geometra.

Wypieszczone lica młodzika zmarszczyły się jak gdyby mu kto chrząszcza na nos wsadził.

— Czy pan zdania tego pana nie podzielasz?... zapytała go pani * *.

— Nie wiem wcale o czem prawi: peu m' importe Widzę tylko, że wiele gada — i szyderczo spojrzał się na nieco spracowane ręce geometry, na jego bielutką, ale nięzbyt cienką koszulę, nie mogącą wytrzymać porównania z jego batystową, kratkowaną i dziurkowaną prześlicznie.

Pan Ademar w ciągu objadu niemal tylko kosztował potraw, jakoby przez grzeczność dla gospodarstwa: nie była to jego pora dinowania, bo zwykle dopiero o 6tej jadał; nadto, snać i potrawy nie przystały do jego wykwintnego smaku.

Po obiedzie rzucił się znowu na fotel przy kanapie, na której pani * * usiadła, i już na dobre po francusku konwersować zaczął, lubo że i gramatyczne płatał błędy, i nie dosyć z akcentu paryskiego był skorzystał.

Nadszedł pan G. i usiadł przy nim na krześle, w ten sposób, że go całkiem zabarykadował, bo po drugiej stronie miał kanapę z panią * *, a przed sobą stół owalny, z płytą marmurową.

Dandy spojrzał się z ukosa na sąsiada, zmierzył go wzrokiem szyderczym, i odwrócił się z pogardliwym wyrazem: obrażało go widocznie, że p. G. śmiał przy nim usiąść.

— Dowiedziałem się teraz dopiero o szanownym nazwisku pana dobr. — zaczął geometra, gdy panicz coraz więcej odwracał się od niego;—a wszakżeż tak dobrze znałem ojca pańskiego, het, z dawien - dawna.

Pan Ademar znudzoną przybrał minę i wcale na mówiącego nie spojrzał: chciałby był wstać i pójść sobie, ale zawarowany w koło, siedzieć musiał.

— Rychło mu sie zmarło — ciągnął dalej pan G—byłem od niego starszy o jakie lat 8 lub 9. Był to przystojny chłopiec, podobny do pana dobrodzieja, tylko silniej zbudowany. Gdym go pierwszy raz widział, nie miał chyba więcej jak lat ośmnaście, a był już wyrosłym. Rozmierzałem wtedy Muranowszczyznę, a była to moja pierwsza, ważniejsza praca.

Dandy poruszył się niecierpliwie i ziewnął.

— Zaś ojciec pana dobr., został mi dodany przez dziedzica na posługę, i zawsze sznur za mną nosił.

Pan Ademar poczerwieniał jak piwonia, porwał się i pobladł: niby tchu mu nie stało. Pani * * siedziała jak na szpilkach. W koło trwała cichość, jak w kościele.

— Potem, poszedł w okomony — ciągnął dalej nieubłagany prześladowca; dostał się do kasztelana, posiedział tam lat kilkanaście, dorobił się mająteczku, poszedł na dzierżawkę...

Panicz powstał.

— ...A potem zadzierżawił obłożony konfiskatą klucz Nowodworski...

— Banialuki! — wykrztusił biedny Ademar i odepchnął fotel. Pan G. swoje usunął krzesło, przepuścił go, ale dokończył:

— Później znaczne kupił dobra: miał dużo szczęścia.

Pan Ademar skłonił się gospodyni domu, gospodarzowi — i wybiegł blady jak mara, a za nim pan domu pospieszył.

— Ach, jakżeż mu też pan dokuczyłeś! wymówiła pani * *, składając dłonie.

— Pocóż wywołał wilka z lasu: za piękne, nadobne. Jego zuchwałe a kłamliwe aż do wstrętu przechwałki, jego impertynencya musiała odwet spowodować; odrzekł pan G.

Posłyszano turkot oddalającego się karykla.

— Odjechał, wymówił któryś z panów.

— Z nauczką nieposlednią; dodał drugi, byle tylko na pożytek mu poszła.

— Kochany panie G! zawołał pan domu, do salonu wchodzący. Pobiłeś na śmierć panicza; zaledwie do karykla wsiąść zdołał:

„Płaczcie amorki, płaczcie alcyony!
„Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony!"

— Pocóż wywołał wilka z lasu, odrzekł po raz drugi pan G. spokojnie — za piękne, tylko nadobne! +

PRYKAZ PETRA WEŁYKOHO.

Wo imia caria i knuta.
I katorżni i Sybira
Bude wasza Ruś okuta,
I kijewska wasza wira.

Doki Dnister bude płysty,
Szumiat stepy j Czorne more,
Syniw rodiat wam newisty —
Dotyl hore na was, hore!!

Hore na was, i na dity,
Na prawnuki, w wsiakoj chwyli,
A kto schocze was tiszyty,
To naj tiszyt was w — mohyli!

Hen na Newy czudzki fali
Waszych mołodciw sprowadżu,
Wbju w moczary ich za pali,
A na palach horod zładżu.

Won z Kijewa wasza buta,
Ne zistane z nioho j kamiń —
Wo imia katorżni, knuta,
Caria i Sybira — Amiń.

1861. Platon Kostecki.

List sześciu akademików Polaków

do p. Westfala prof. w Wrocławiu.

(Dokończenie.)

Muretus pisze do Sacrata *(epist. l. 66)*: „*Magna mihi, Sacrate, cum multis Germanis, magna cum permultis Polonis familiaritas, magnus usus, magna necessitudo fuit. Semper eos expertus sum bonos viros, rectos, simplices, apertos, hummanisimos praeterea, et prope omnes eo vitae cultu ac munditia, quae ad elegantiam potius quam ad ullam barbariem accederet. Nugae istae sunt hominum, eos, qui adulari et fallere et aliud loqui aliud cogitare nesciunt, barbaros vocantium. Utinam nos eo modo barbari essemus! Illi vero barbariores sunt, nati in media Italia, quorum vix centesimum quemque reperias, qui latine aut graece loqui sciat, aut litteras amet, an Germani ac Poloni, quorum permulti et earum linguarum utramque perfectissime collent et ita litteras ac liberales disciplinas amant, ut in iis tempus omne consumant. Olim illi fortassis asperi ac barbari fuerunt; hoc quidem saeculo vereor, ne ad nos barbaries, ad illos cultus et splendor vitae et eruditio atque humanitas mutatis sedibus commigraverint.*"

Lecz dosyć już cytatów. Z ilu Polakami Manutius utrzymywał korespondencye, z jakiemi pochwałami Erazm Rotterdamczyk wyraża się o naukach i oświacie w Polsce, każdemu uczonemu niemieckiemu aż nadto jest znanem.

Nasz Zaluziański na sto-pięćdziesiąt lat przed Lineuszem postrzegł dwupłciowość roślin, Ciołek, zwany Vitellionem, jeszcze w XIII. wieku utworzył teoryą łamania się promieni światła, wspartą na rachunku matematycznym; naszych poetów publicznie na Kapitolu ozdabiano wieńcami sławy, nasza młodzież była ozdobą wszystkich uniwersytetów Europy, nasz Zamojski był rektorem w Padwie, nasza akademia krakowska przez dwa wieki jedna z najpierwszych w Europie, a mimo to tak często musimy słuchać wyrażeń podobnych temu, które na początku listu położyliśmy.

Tyle Polska w wieku XVI. na polu naukowem zdziałała. Przez 200 lat następnych starali się jezuici naród nasz zupełnie ociemnić, od lat 70 ojczyzna nasza przez obcych wrogów katowana, nasza najdzielniejsza młodzież ginie w lodach Sybiru, w lochach Szpilberga i Kufsteinu, lub walcząc za granicą z najpierwszemi potrzebami życia marnieje bez pożytku dla kraju. A mimo to ileż nasz naród zdziałał dla cywilizacyi! Nasz Mickiewicz przełożony nie tylko na wszystkie słowiańskie i romańskie języki, nawet w ustach Persów brzmią jego pieśnie.

Że Niemców więcej interesują zwoje papyrusowe Koptów aniżeli polscy poeci, nie jest naszą winą. Niemcy nie chcą nas poznać, lubo wszystkim cywilizowanym ludom znani jesteśmy, a z tłómaczenia perskiego Mickiewicza można się przekonać, że potomkowie Sassanidów i waleczni Afghanowie właśnie zupełnie przeciwnej logiki się trzymają jak Niemcy, więcej zajmują się naszym dzielnym, bohaterskim narodem, aniżeli egipskiemi mumiami lub abisyńskiemi bożyszczami.

Nasz Krasiński, nasz Słowacki, stoją zupełnie na równi z poetami niemieckimi, nasz uczony Lelewel, nasz genijalny myśliciel Cieszkowski, badacz Maciejowski, dwaj bracia Śniadeccy, znani są nawet i pisarzom niemieckim. Ile Meniński zrobił dla słownikarstwa arabskiego jeszcze w przeszłym wieku, aż nadto znaną jest rzeczą.

Z Polaków zasłużonych w naukach przyrodzonych i medycynie wymienimy tu tylko botanika Andrzejewskiego, hr. Sumińskiego, Warszewicza, Cienkowskiego, znanych niemieckim uczonym; chemików Piotrowskiego, Natansona, Laskowskiego; fizyologów Jakubowicza, Hirszfelda i anatoma Wisłockiego.

Nie wyrzutami obarczać ale podziwiać powinni Niemcy Polaków, że mimo 70letniej niewoli i ucisku nieznanego w dziejach świata tyle zdziałali.

Do tego dodajmy nazwiska innych szczepów słowiańskich. Czesi: Palacky, Szafarzyk, Miklosicz, Dobrowsky, Hanka, Kollar, znani są zarówno jak Rosyanie Puszkin i Karamzin. Rosyanin Pirogow, Czech Purkinje, pierwszy jako anatom, drugi jako fizyolog posiadają sławę europejską; niemniej znani chemicy Seczeniew, Sokołow, Mendelejew; fizyolog Owsiannikow. Czy nazwiska te nie wystarczają? Wymieniliśmy tu tylko tych, którzy w Europie znani ze swych pism niemieckich i francuskich; również wyborne prace w daleko większej ilości wykazać możemy w języku ojczystym.

Lecz wracamy do orzeczenia Pańskiego z d. 16. maja. zaczepiłeś pan Słowian nie prawdą historyczną i niezbitymi faktami; jedna osobliwość naszej gramatyki wystarczyła Panu do skazania nas na wieczne milczenie i śmierć moralną. Zajrzyjmy tedy do naszej gramatyki.

Język łaciński posiada 5 przypadków, polski 6—czyż tedy tak wielka różnica między naszą deklinacyą a łacińską? Czyż nadmiar jednego przypadku tak brzemienny, by zniżyć szalę sprawiedliwego Minosa na naszą niekorzyść?

Z tych sześciu przypadków języka polskiego miejscownik tylko w połączeniu z przyimkiem może być użytym; ten przypadek tedy możemy prawie wykreślić, tak samo jak w języku greckim nie możemy uważać n. p. οἴκοι lub οὕτω za osobne przypadki, gdyż pierwotne form tych znaczenie jako przypadków już nie istniało w językowem Greków poczuciu. Nasz tedy miejscownik jest zlodowaciałą, nieodmienną formą przysłówkową, narzędnik częściowo już tę samą przybrał formę, a więc co do ilości przypadków nasz język bynajmniej nie przewyższa łacińskiego, ale owszem mniej posiada niż tenże.

Języki germańskie posiadają bez wątpienia mniej przypadków, aniżeli słów; z drugiej strony w odmianie słów przewyższa nasz język pod każdym względem języki germańskie nie tylko przez tak pięknie rozwinięte imiesłowy i pełniejsze zakończenia w odmianie czasów, ale głównie przez różnicę słów dokonanych i niedokonanych, jak jej w żadnym innym języku nie znajdziemy — możemy tedy najdelikatniejsze różnice stosunków czasowych i trybowych jak najdokładniej wyrażać. Do stworzenia takich dzieł potrzeba było logicznej bystrości — a ta, bogu dzięki, naszym przodkom tak obficie dostała się w darze, jak wszystkim innym narodom.

Jeżeli zaś niemieckim narzeczom co do ducha językowego wcale nie ustępujemy, przewyższamy je aż nadto bo-

gactwem form i dźwięcznością brzmienia. W pismach niemieckich, w ustach cudzoziemca wyrazy nasze zaiste nieraz dziwnie się wydają, lecz jeżeli się je dobrze wymawia, język nasz zawsze się podoba, przynajmniej wszystkim co lubią męską powagę, połączoną z serdecznością i dobrocią — bo wszystkich tych przymiotów język nasz jest wyrazem.

Życzymy sobie W. P. Profesorze, byś na złe nie tłumaczył naszego kroku — a jeżeli nie możesz stać się przyjacielem Słowian, to bądź przynajmniej sprawiedliwym dla głównych ich reprezentantów. Przekonani że i Ty szanowny nauczycielu, należysz do mężów, którzy pracują nad pogodzeniem dwu wielkich narodów północy i wschodu, spodziewamy się że i dla nas okażesz się równie szlachetnym i sprawiedliwym, jak dla własnych spółziomków.

Wrocław 21. Maja r. 1861.

(Następuje 6 podpisów.)

Valeta Krakusom.

Zgięci pod niewoli karą,
Gdyśmy mocni naszą wiarą,
Kiedy duch nasz piorunowo
Życia pieśń nam gra;
Furda bracia to i owo,
Furda ból i łza.

My zrodzeni do szablicy,
My wolności wojownicy,
Nas nie zdmuchnie jako pyłki
Najzawziętszy los;
Furda kozy i wysyłki
Furda chwili cios.

O jednej myśl nasza marzy,
U jednych klęczym oltarzy,
Jednym ogniem my płoniemy,
W jeden lecim bój;
Furda gdzie kości złożemy,
Furda śmierć i znój.

Równo są w pańskiej winnicy
Płatni wszyscy robotnicy —
Wszędzie święta nasza sprawa
Czy to jest Lwi-gród,
Kijów, Kraków czy Warszawa,
Jeden cel i lud.

Bracia! więc na pożegnanie
Hardą piosnkę, a nie łkanie
Na strzemienne do was wznoszę,
Choć mam w oku łzę;
Choć smutno mi potrosze,
Ale śmieję się.

1861. A. S.

Porozbiorowy szlak.

Młodym braciom z Korony, Rusi i Litwy.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach.
Pieśń konfederacka
Jedna prawda — jak lud jeden.
Pol hist. Kilińskiego.

. . . . Polsko! kiedy szubienice
Dla twych synów sławy wieńcem,
Gdy z ludem giną szlachcice,
Car głów polskich zwie się rżeńcem —
Wierzę w ciebie Polsko moja,
Bo ty jesteś wciąż młodzieńcem,
I otwarta droga twoja,
I nie będziesz martwą, starą,
Bo ty stoisz wciąż — ofiarą. . . .

(Ciąg dalszy)

IV.

Następuje epoka wielkiej świetności i chwały dla Polski, jednak epoka bogata znowu tylko w nowe doświadczenia, epoka w której Polska wojująca jakby sama siebie nie świadoma na drugim planie stoi, bo jej gwiazda tylko trabantem obracającym się około gwiazdy Napoleona pierwszego. Na gruzach rzeczypospolitej francuskiej powstaje Jowisz dziewiętnastego stulecia. Samowładzca Francyi wszystkie szlachetne siły z niej wydobywa i przebiega Europę od krańca do krańca jako oswobodziciel uciśnionych narodów. Depcze wszechwładną potęgą geniuszu prawa narzucone dziejom od czasu nastania systemu równowagi politycznej. Ponad wszelkie prawa ludzkie — narodów boże prawa stawia i zaczyna nowy okres w postępie dziejów całej ludzkości. Jednak i taki geniusz był człowiekiem z gliny a zapomniał o tem Widząc w sobie uosobionego przyszłych dziejów twórcę, czując że dusza jego nowych idei krynicą, wszystko w sobie chłonął, jakby sam tylko był dojrzałym nie tylko do przewodniczenia światu, ale nawet do pojęcia nowych dróg jego. On i tylko on chciał być wszystkiem, aż w nadludzkich wysileniach geniuszu sam siebie pożarł. Wprowadzenie sprawiedliwości w rządy świata, w politykę, to było jego godło, lecz zbytnią zarozumiałością o sobie sam je gwałcił. Francyą dla jej zbawienia wolności pozbawia i staje się carem jej. Był to przecież jedyny w dziejach car nie samą tylko materyalną siłą, ale i geniuszu dobroczynnym wpływem rządzący, więc nawet i kochany. Oswobadza narody, rzeczypospolite tworzy, ale wreszcie narzuca im na trony własnych krewnych. Polityka jego była polityką narodowości, ale jakby tylko dla tego, że tą drogą zawsze on pierwszy na czele stanął i ster w swoją wprawną dłoń uchwycił; bo on tylko w siebie wierzył. Więc też promieniała coraz jaśniej gwiazda jego, dopóki zgodnie z narodów gwiazdami szła. Ale kiedy zgrzeszył przeciwko narodowi uszlachetnionemu w dziejach aureolą największego w Europie męczeństwa, zgrzeszył przeciwko samemu sobie i runął. Nie chciał czy nie mógł być chrzestnym ojcem narodu, który dojrzały krwawego tylko chrztu odrodzenia czekał, żeby się znowu w obec dziejów dawnym nazwiskiem Polski nazwać; nie chciał czy nie mógł, i nowa Polska jeszcze w kolebce leżąca stała mu się grobem. Chciała snać opatrzność w osobie Napoleona pierwszego zesłać światu tylko pocieszyciela zawieszającego nad Europą nowego zakonu tęczę, a przeznaczonego jako pierwszy, tak jak Kościuszko, na żywot wielki lecz

męczeński. Bo chciała snać opatrzność, żeby nie jednego geniusza czarodziejska moc w nowe tory świat wprowadziła, ale żeby narody własną mozolną pracą wyrobiły w sobie poczucie, dążność i siły do urzeczywistnienia tego, co pocieszyciel ów objawił. A wtedy litościwa opatrzność znowu sternika zsyłać zwykła.

Naturalną acz fatalną było rzeczą, że kiedy Napoleon podniósł sztandar w imię wszystkiego tego co Polakom najdroższem, że wszyscy z ślepą ufnością w niego uwierzyli i jemu się oddali. Jeden tylko Kościuszko dostrzegł od razu i przestraszył się dwoistością jego, jako wybawcy i tyrana. Jeden tylko Kościuszko nigdy w Napoleona nie uwierzył. Napoleon uczuł to, tem bardziej, że Kościuszki potrzebował, więc zapamiętały a nie przebierający w środkach nie mogąc osobą jego, kłamliwie chociaż imieniem jego nadstawiał się w odezwach do Polaków. Dwoistością swoją przywiódł on Polaków do najstraszniejszego obłędu. Bo kiedy w ostatniej kampanii wiara w niego w Polsce stygła, porzucano pewnego chociaż nieszczerego opiekuna, a poczęto zatracać się wyglądaniem zbawienia z moskiewskiej dłoni, z dłoni najchytrzejszego z carów Aleksandra pierwszego. Książe Adam Czartoryski pełen dobrych chęci, a jednak najsrożej od tego obłędu opanowany i przewodniczący teraz i później na tej drodze, za to polityczne zwątpienie w siebie i w naród już dzisiaj, w żyjących nawet jeszcze świadków opinii pokutuje. Do systemów wynaradawiania i knuta, pod które się Polska od pierwszego rozbioru dostała, przyłączyło się później okropne widmo panslawizmu, widmo pochłaniającej, nigdy nienasyconej Moskwy. Owo zbawienie które od Aleksandra przyjść miało, to była karm dla tego widma. I jeżli Moskwa kiedykolwiek popuszcza despotyzmu cugli, to tylko na to żeby uprawdopodobniać owe zgubne mniemania i torować drogi pomysłom „wielkiego“ Piotra. W ogóle zaszczepił Napoleon wtedy w Polakach brak samodzielności i przyzwyczajenie do zależności od skinień dyplomacyi, która zawiodła i wtedy, kiedy z gabinetu Napoleona rozkazy wychodziły.

Cały przebieg wojen napoleońskich w Polsce od tych smutnych prawd chromieje. Polacy nie mając widomej ojczyzny lecą za Napoleonem i tworzą zastępy broniące kardynalnej podstawy własnej ojczyzny, wolności. Legijony polskie za granicą, rekrutujące się z najochotniejszej młodzieży ciągle z kraju przybywającej, to była owa daleka gdzieś oaza, na której tęsknie spoczywała znękana dziejowemi karawanami myśl patryotów w kraju cierpiących. I słowo legijon stało się odtąd w Polsce mojżeszową laską, wydobywającą ze skał zwątpienia żywe zdroje wiary i otuchy. O bo pod jakąż to wróżbą tworzyły się owe legijony! Nie wahał się Dombrowski włoskiego, a Kniazewicz naddunajskiego młodzieżą ciągle wzmacniać, bo byli pewni planu swego przedarcia się do Galicyi. I stanęły wreszcie legijony te nad Wisłą i Niemnem, ale podziesiątkowane, postarzałe od ran, niedostatków i wewnętrznych wyrzutów, że niewinną rozlewały krew. Bo mimo to że były polskiemi, Napoleon niemi rządził, bo na obcym stały żołdzie. Zawsze awantgardą Polacy, i Polacy tył zasłaniają. Polacy zdobywają w pośród przekleństw Hiszpanów pełnych zaciętego poświęcenia, Samossierę i Saragossę; Polacy giną w spiekach na St. Domingo. A jak z legijonami tak i z całą Polską Napoleon postępował, nadużywając jej wiary i gotowości. Po zwycięztwie nad Prusami pod Jena nie dźwiga Polski, ale tylko ks. Warszawskie dekretuje w Tylży 1807 roku, co było Polski rozbiorem czwartym. A jednak i na tym okruchu wystającym z niepewności morza, stanęli Polacy tak silni i groźni, jak to tylko narodowi o dziesięciowiekowej samodzielnej przeszłości podobna. Maleńki kraik pod dobrym lubo nie energicznym księciem saskim (jak tego ustawa 3go maja żądała), wydobywa ostatnie siły i organizuje się. Tutaj też jest jedyna wielka zasługa Napoleona I. względem Polski. Nadał księstwu Warszawskiemu konstytucyą na wzór francuskiej wprawdzie co do form, ale zasada jej wprowadziła od razu, bez stanu przechodowego bo pod gwarancyą największego mocarza, właśnie nowej Polski zasady. Równość wszystkich w obliczu prawa kategorycznie wyrzeczona i przeprowadzona została. Do tych samych celów zmierzała ustawa 3go maja. Tym sposobem nastał w kraju ład, patryotyczne sejmy regulowały wszystkie stosunki, stanęło pełne otuchy wojsko, książe Józef na czele, niecierpliwość we wszystkich inszych prowincyach Polski rosła — jednak ks. Warszawskie nie przywróciło całej Polski, bo nie zależało od siebie tylko od Napoleona. W wojnie z Austryą pomaga mu ks. Warszawskie najskuteczniej diwersią od zachodu, arcyksięcia Ferdynanda zmusza do ustąpienia z Warszawy, całą Galicyą zajmuje, a wszystko w imię Napoleona i pod jego znakami. Więc też kiedy Napoleon po bitwie pod Wagram w Szoenbrun 1809 r. pokój zawiera, Polacy muszą na jego rozkaz znowu oddać ziemie własne świeżo zdobyte, muszą się zadowolnić częścią zachodnią Galicyi, muszą zezwolić na niewytłumaczone dotąd oddanie Moskwie cyrkułu Tarnopolskiego, muszą okupywać swoją uległość dyplomacyi i brak samodzielności tym piątym Polski rozbiorem.

I nie była już tak wielka wiara w Napoleona w trzeciej kampanii 1812 roku, lubo ją sam Napoleon polską nazywał. I teraz ani jednym zresztą słówkiem nie zdradził czy to o Polskę chodzi. Już na naszej ziemi obozując jeszcze chciał traktować z Moskwą pod warunkiem, że o Polsce wspominku nie będzie. Zaparł się Polski, chciał zgnieść Moskwę bez Polski, to najważniejszy jego żywota błąd. Od skutków jego nie zachowało go ani bohaterstwo całej Polski. Gnał i gnał naprzód zostawiając po za sobą nie organizujące się państwo, ale przechodem kroci wojska nacechowaną pustynię. Więc kiedy od zgliszczów Moskwy cofać się przyszło, nie było gdzie spocząć, Nurty Berezyny pochłonęły ówczesne nadzieje Polski, nurty Elstery ówczesnego Polski bohatera, kongres wiedeński 1015 roku szósty raz Polskę dzieli; a Napoleon na odludnej wyspie w własnych pamiętnikach obwinia się o niewdzięczność względem Polski, tej jedynej rękojmi dla trwałości chwały jego.

(C. d. n.)

OSTATNI Z RODZINY.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dalsze mogiły.

Zamierzywszy sobie opowiedzieć po krótce przebieg całej konfederacyi barskiej, trudno zmieścić to opowiadanie w ciasnych ramach obrazku, to też nieraz wyskakiwać z nich musimy. Głównie nam bowiem chodzi o obznajomienie czytelników z tym wielkim dziejowym faktem, tak ważnym w następstwach, o którym ze zwykłych dzieł historycznych a tem mniej szkolnych dowiedzić się nie mogli. Aby zaś zrozumieć dokładnie działanie dramatu tego, trzeba poznać tło historyczne, na którem on się odgrywał.

Po krótkiem panowaniu cara Piotra III., zasiadła na krwią zbroczonym tronie jego „Minerwa północy," Katarzyna II. z domu Anhalt-Zerbst-Dornburg. W Europie wichrzyła wówczas siedmioletnia wojna, na tronie rzeczypospolitej siedział dobroduszny August III., elektor saski, pupil zmarłej carowej Anny, a przez to samo bardziej oddany Rosyi— która i ojca jego na tron przywróciła i jego samego osadziła— aniżeli narodowi, który go mianował królem. Pomoc nareszcie przeciwko przywoływanemu po raz drugi na tron Leszczyńskiemu zrobiła go do reszty państwa temu uległym. Z położenia geograficznego elektorstwa w siedmioletnią uwikłany wojnę, naraził rzeczpospolitą na to, że „kochając królów swoich i szanując nawet osobiste ich stosunki, stała się gościńcem dla wojujących Rosyan i musiała znosić gwałty i krzywdy, nie udowodniające wcale wielkości ducha Fryderyka wielkiego i jego filozofji." Tak tedy stracił zupełnie samodzielność, i naraził rzeczpospolitą na co raz beszczelniejsze mięszanie się Rosyi do spraw polskich, datujące się od zaprzyjaźnienia się Augusta II. z carem Piotrem I. na zjazdach w Rawie ruskiej, Birczach, Toruniu i Gdańsku, który, jak wiadomo, zbrojno popierał odwołanie abdykacyi tegoż króla na rzecz Leszczyńskiego przez manifest z dnia 9. sierpnia 1706 ogłoszone. Nadto rozkrzewił August III. w narodzie zbytki, których sam był wielkim zwolennikiem, i naraził go przez to na winy, które do dziś dnia okupuje.

Umarł król w Dreznie dnia 1. października 1763 r. na apoplexyą; zachorował i umarł na ospę tegoż samego roku elektor saski, którego na tron forytowano, a gdy się nikt ani z domu saskiego ani z innych zagranicznych książąt o tron Polski nie zgłaszał, wystąpił naprzód piękny kuzynek Czartoryskich, p. stolnik litewski Poniatowski, któremu wichrząca w kraju familia *) przyrzekła pomoc pod warunkiem, „iż zostawszy królem będzie we wszystkiem rady księcia kanclerza jako głowy familii słuchał i że wakanse za rekomendacyami onej szczególnie i zezwoleniem będzie rozdawał," na co Poniatowski— jak powiada Kitowicz — nie targując się, chętnie przystał. A że i ukoronowana przyjaciółka jego, „pamiętna jego zasług, jeszcze za życia Piotra męża doznanych" na tronie polskim mieć go sobie życzyła, pomimo sprzeciwiania się zacnego Małachowskiego i Mokronowskiego, p. stolnik za pomocą artyleryi i bagnetów rosyjskich, „z wolą wolnego narodu" na króla obrany został.

*) Tak nazywano wówczas rodzinę Czartoryskich.

A tymczasem zapobiegliwa carowa ułożyła z królem pruskim traktat, (z dnia 4. stycznia 1764 r.), gdzie między innemi zgodzono się co do Polski: „aby przeszkadzać uchwaleniu dziedziczności tronu i wszelkie przedsiewzięcia niszczyć, któreby do zmiany form rządu lub praw korony zmierzały. Nadto zobowiązano się wspierać dyssydentów przeciwko uciskom katolickiego kościoła, przy elekcyi zaś wprowadzić na tron Piasta, tym zaś nie miał być kto inny, tylko Poniatowski" *).

Od tej chwili rządził w Polsce plugawej pamięci Mikołaj Mikytycz kniaź Repnin, Repninem zaś zacny wuj jego hrabia Nikita Panin, faworyt carycy, który na skargi patryotów polskich pawtarzał im zawsze jedną i tę samą piosnkę: „Imperatorowa jest to wielka monarchini, a książe Repnin jest moim siostrzeńcem, mimo więc oporu waszego musicie być szczęśliwi! „Nadaremnie wołał Sołtyk na następnym sejmie: „Pamiętajcie, by to nie był sejm ostatni, i aby świat o was nie powiedział, że sami dobrowolnie nastawiliście karki pod jarzmo ohydne!..." —porwano niewygodnych krzykaczy i do Kaługi zawiedziono, a nieszczęsna Polska stała się widownią gwałtów i bezprawiów.

„Posadzenie na tron Stanisława Poniatowskiego potęgą broni cudzoziemskiej — pisze autor wielce szacownych „Wiadomości o konfederacyi barskiej" — oburzyło naród. Środki gwałtowne do utwierdzenia go na nim przez ministra Repnina używane nietylko odstręczały umysły, nietylko ujmowały powagi, tak dalece, że musiano z Petersburga przysłać rozkaz jenerałowi dowodzącemu, aby tak Rosyanie jak Polacy oddawali królowi honory—ale nadto nadawały mu postać nieprzyjaciela kraju; Rosyi zaś ściągały niechęć i przekonanie, że król sam jest jej narzędziem zniszczenia niepodległości narodowej. Konfederacye przez nie wzniecane waśniły obywateli, szerzyły kłótnie familijne jeszcze za Sasów i elekcyi Leszczyńskiego zaród swój mające, służąc do niejakiegoś domyslowego gatunkowania domów. Odtąd zaczęto każdemu nadawać cechę rosyjską, pruską, austryacką, saską, a nikomu nie chciano niestety przyznawać narodowej, choć tylko duma, podłość, egoizm i różnorodne przeciw ojczyźnie występki znajdowały u obcych pomoc i wsparcie. . . . Wojsko nieliczne na wzór saski uorganizowane, wielu niemieckimi oficerami obsadzone, nie wiele zatem troszczące się o kraj, nie było w kraju lubione. Skarb próżny, dochody szczuple, środki zasilenia skarbu utrudzone. Hetmani, jeden w sporach z królem od sejmu konwokacyjnego, drugi z izby obrad porwany. Prawa polityczne obywateli przez posła rosyjskiego znieważone. Duchowieństwo w osobach wywiezionych biskupów poniżone, sądownictwo zdemoralizowane, powagi nie mające. Administracya pobytem wojsk obcych i samowolnością dowódców w bezwładność wprawiona. Obyczaje intrygą, przekupstwem i rozwiązłem biesiadnictwem zepsute. Nauki w upadku . . . Że w tem położeniu każda wieś, każde

*) Neue Monatschrift für Deutschland, achter Jahrgang 1827. II. Heft. Februar. Berlin. Raumer. Polens Untergang. S. 20.

miasto nie zalało się krwią współrodnią, przypisać to należy łagodności i nigdy niepożytej miłości ojczyzny Polaków...."

W tych chwilach najwyższej potrzeby, zawiązała się konfederacya w Barze.

I roztoczył się przed Europą wielki obraz dziejowy, pełen wspaniałości i grozy. Obrażony naród powstał jak mąż jeden, z każdej piędzi krwią przesiąkłej ziemi wyrastać poczęli mściciele.. Szerokie łuny roztaczają się, siejąc w około zniszczenie. Wsie obrócone w perzynę, domy rozburzone, ze zgorzelisk sterczą kości pomordowanych.

Wielki poseł monarchini północy krwią polską pisze warunki uspokojenia, podczas gdy Poniatowski zanurzony w rozkoszach w królewskim spoczywa letargu. Brat walczy przeciwko bratu. Lepsza częś narodu się wysila, obojętni stoją na uboczu, złoczyńczy marnują i trawią złoto nabyte za łzy i krew współbraci, podczas gdy w Humaniu z poduszenia Rosyi rzeź krwawa się wszczyna i szeroki Dniepr polską krwią płynie.

A wśród tych płomieni domowej wojny rysują się postacie mężów, godne wieku rzeczypospolitych. Sędziwy Puławski poświęca całą rodzinę dla wolności ojczyzny i sam ginie w jej obronie, a gdy mu na pobojowisku donoszą o śmierci synów, mówi z spokojem spartańskim: „Jestem pewny że synowi moi uczynili zadość swej powinności, a jeżeli polegli, to pewnie śmiercią walecznych."— Ksiądz Marek w aparaty kościelne strojny z krzyżem w ręku przewodzi zbrojnym hufcom, a gdy podczas oblężenia Baru dostaje się w niewolę rosyjską i nakazano go zabić, żołnierze carscy przeniknieni jego świętobliwą postawą nie chcieli być posłuszni i do nóg mu się rzucają, słuchając proroctw jego. — Kazimierz Puławski nareszcie dzielny syn zacnego ojca, pełen odwagi i nieustraszonego męstwa, pełen zapału i poświęcenia, pełen najczystszej i najwznioślejszej miłości ojczyzny... i tyle innych, godnych wiekopomnej sławy.

Lecz obok tych wielkich postaci, jakże jaskrawo występują zwykłe narodowe wady!

Polska, poeta pomiędzy narodami, pełna najszlachetniejszych i najwznioślejszych uczuć, ma jednak i wszystkie wady poety. Łatwo się zapalając myślą wielką, prędko w niej ostyga, a rządząc się fantazyą i prywatą, niszczy częstokroć sama lekkomyślnie, co pełna zapału poczęła....

Niepodobna jest iść ślad w ślad za wypadkami konfederacyi barskiej, niepodobna nawet ich kolej zachować z ścisłością, zwłaszcza że w poźniejszych czasach starano się niszczyć wszystkie pamiątki tej nieszczęsnej epoki. Bez obmyślanego naprzód planu działania, ożywiona jedynie duchem obrony kraju, siadała szlachta na koń i rzucała się oślep na wroga nie bacząc ani na pozycyę ani na liczbę, zdając wszystko na Boga i szablę. Nie jeden też dokazał się czyn podziwu godny, brak ten jednak zupełny planu i jednostajności w działaniu nie mógł doprowadzić do zadawalniających rezultatów.

Lecz i inna była jeszcze przyczyna niepowodzenia, i to najważniejsza, a nią była — niezgoda wewnętrzna. Jest to robak, który toczy nieustannie ciało narodu naszego, wysysa krew z niego najlepszą i pozbawia go wszystkich owoców długoletnich poświęceń. Uczmy się zatem historyi! — to jedyna droga ratunku. Pouczeni smutnem doświadczeniem ojców, widząc okropne skutki ich błędów, unikać ich będziemy na zawsze. Lecz dla tejże samej przyczyny nie bądźmy jednostronni w przedstawianiu przeszłości, nie usypiajmy się marzeniami do snu miękkiego, bo nam czuwać potrzeba, nam trzeba widzieć jasno i trzeźwo, bo inaczej pomimo całej szlachetności i wzniosłości uczuć podnieść się nie zdołamy i zmarniejemy, jak tyle wielkich duchów z braku praktyczności marnie zginęło w szpitalach.

Oto co pisze o tem rozdwojeniu wewnętrznem współczesny Murray, przychylny zresztą bardzo konfederacyi:

„W wojsku konfederackiem jak w każdem innem gdzie szeregowcy i oficerowie są bezwyjątkowo prawie szlachtą, uniemożliwiała koniecznie już sama równość przestrzeganie ścisłej subordynacyi i przeszkadzała wprowadzenie surowej i stale utrzymywanej karności, która jest duszą stanu wojskowego. — Próżność dziecinna, którą zaszczycano bardzo niesłusznie szumną nazwą dumy narodowej, zrodziła wkrótce nieufność i podawała w podejrzenie wszystkich naczelników, osobliwie tych, którym przyznano władzę więcej nieograniczoną. Z tego to źródła wynikały owe nieszczęsne rywalizacye, zazdrość i nienawiść, które zbroiły oddziały przeciw oddziałom, a osoby przeciw osobom i rozbiły stronnictwo, początkowo silne jednością swoją, na mnóstwo koteryi, gotowych zawsze szkodzić i przeciwić się sobie wzajemnie." (*C. d. n.*)

Rozmaitości.

Wezwanie „Biblioteki Warszawskiej" do pana Tworzymira. — O „Dziewczęciu z Sącza" p. Romanowskiego. — Odpowiedź panu R. F. z Tarnowa. — Kilka uwag o artykule: „Z notat podróżnych," umieszczonym w Nrze 19 „Czytelni." — Z Krakowa.

✕ W czerwcowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej" z b. r. czytamy na str. 723: „Redakcya naszego pisma otrzymała od p. *Tworzymira* dwie rozprawy w przedmiocie przysłów tj: o przysłowiach ludu wielkopolskiego, zawierające spostrzeżenia na różne dni, miesiące i pory roku, z ust ludu zebrane. Obydwie rozprawy, oceniając wysoką ich wartość i znaczenie dla ojczystej mowy, umieścimy w dwóch następnie po sobie idących zeszytach i upraszamy nieznanego nam autora o zbadanie, czy w Wielkopolsce w mowie ludu, mieszczan lub szlachty, nie dotrwały jeszcze przysłowia historyczne polskie?" — Wezwanie to powtarzamy dla tego, że p. Tworzymir, będąc i naszego pisma współpracownikiem, prędzej może dostanie do rąk „Czytelnię" aniżeli „Bibliotekę Warszawską," prędzej więc i zaszczytnemu wezwaniu temu zadosyć uczynić zdoła.

✕ Utwór poetyczny „*Dziewczę z Sącza*" pana Romanowskiego, o którym w zeszłych numerach daliśmy obszerniejsze sprawozdanie, doczekał się przychylnej wzmianki w „Gazecie polskiej" i długiego, pomimo niektórych ostrych krytycznych uwag, dla autora bardzo zaszczytnego rozbioru w „Tygodniku Illustrowanym."

✕ Z powodu powiastki „*Przechrzta*" umieszczonej w „Czytelni", p. R. F. z Tarnowa zamieścił w Nr. 52 „Dziennika literackiego" kilka uwag krytycznych, zarzucając artykułowi temu dążności niereligijne. Myli się autor, podług naszego zdania. W powiastce tej potępia się *inkwizycia*, której przecież nikt z dzisiejszych duchownych nawet bronić nie zechce — i równie jak w powieści historycznej zachowany być musi koloryt wieku, tak samo i wyrażenia osób *wtedy* działających muszą być zastosowane do czasu i pojęć. Przeciwnie, wieje z niej duch najczystszego chrześcijaństwa, i nie przeciwko wzniosłym i szczytnym zasadom boskiej religii naszej, lecz tylko przeciwko jej wykonawcom,

wtedy za fanatycznym, zwrócone są niektóre ustępy, które krytyk potępia. O prawdzie słów naszych czyż nie świadczą ustępy, jak ten np. „Nie bluźń — rzekł Michaelo ostatkiem głosu — nie bluźń Chrystusowi patrząc na ciemny żywot tych ludzi, co imię jego noszą na ustach, bo i ci ludzie bluźniercy Chrystusa, choć znamię wybranych położyli sobie na czołach. Nauka Nazareńczyka dojrzewa w ciszy wielkich dusz . . . . .? Albo czyż nie malują dosadnie całą wzniosłość pojęcia religii chrześcijańskiej a oraz kierunek artykułu całego, następujące słowa Michaela: „Nie Myrrho! ja już nie mogę wrócić do dawnej wiary, jak nie może człowiek co wyrósł na męża wrócić w kolebkę, w której igrał dziecięciem.“ Zasady takie nie mogą zdaniem naszem podkopać wiary, przeciwnie, umocnić ją zdołają — nie pojmujemy więc wcale, dlaczego artykuł treści podobnej niestosownym być ma w piśmie przeznaczonym *dla młodzieży dorosłej i myślącej*? Nie rozumiemy zatem i przypisku redakcyi „Dziennika literackiego“, w którym jednem tchem wypowiada, i że artykuł „Przechrzta“ dla Czytelni nie jest stosownym, i że nie może podzielać wszystkich wniosków, jakie krytyk czyni. Jest to dowód dobrego serca i — polityki; bo jużciż jeżeli redakcya nie podziela zdania i wniosków krytyka, uznaje przez to samo, że artykuł nie jest niestosownym. Powiastce tej bowiem nie zbywa zresztą ani na wybitnej tendencyi, ani na myśli narodowej. Tendencya moralna wybitną jest w postaci Michaela, który pomimo tytanicznej walki ducha, pomimo najsilniejszych węzłów, które go rwą do rodziny i ludu jego, przeniknięty wielkością i potęgą świętej religii naszej nie chce się jej wyrzec nawet w okropnej chwili skonu, nawet wyklęty z jej łona — myśli zaś narodowej również zaprzeczyć jej nie można. . . . a mianowicie w chwili obecnej.

— Poczciwe, ale po części nie zdrowe, po części wprost mylne zapisał sobie młody podróżnik notatki o Krakowie; bo zdaje się, że mylne ma pojęcie o tem co do młodzieży należy. Jeżeli mówi, że młodzież warszawska to jeden nierozerwalny zastęp narodowy, jedna bratnia rodzina tak dziesięcioletnich pierwszoklasistów jak kończących kursa medyków i agronomów — to jest to wielce pocieszająca rzecz, ale grzeszy zarzucając krakowskiej brak braterstwa i solidarności. Czy może być kto tak niesprawiedliwym, aby śmiał młodzieży polskiej gdziekolwiek ona jest brak uczucia polskiego i nieskażoności pod względem patryotyzmu zarzucić? To zaś uczucie bez solidarności i braterstwa obejść się nie może; zarzucając więc brak braterstwa — zarzuca się i brak patryotyzmu. Niech sobie podróżnik rozważy! Braterstwo to jednak nie ma się wyradzać w zapomnienie obowiązków. Jeżeli młodzież dojrzała wstępując w świat i życie publiczne, już naukę nie celem ale środkiem ma — to jej młodzi bracia począwszy od dziesięcioletniego pierwszoklasisty aż do kończącego gimnazyalisty, nie przestają być braćmi solidarnością uczucia związanymi, jeżeli po za naukę i szkołę wdzierać się im nie wolno; bo pierwej trzeba wiedzieć co robić, zanim z pożytkiem do roboty wziąść się można.

Akademicy, technicy, gimnazyaliści w Krakowie żyją, znają i łączą się z sobą, lubo tego podróżnik przeczy. Są jednak połączeni nie tak jak on chce w jakieś polityczne ciała — ale są uczuciem połączeni razem z wszystkiemi warstwami społeczeństwa w jedno wielkie polityczne ciało, w naród — i tak powinno być. Zresztą po za tem muszą nie rozpadać ale rozdzielać się w osobne pojedyńcze grona, jedną natchnione sprawą, ale mające każde właściwe cele. Jeżeli dalej zarzuca podróżnik że na samej już akademii są osobne kółka — a to jakżeż ma być inaczej? mają się sta codzień schadzać i o rzeczypospolitej radzić? Niech tylko podróżnik nie chce robić z indyka byka — zgromadzenia młodzieży, to przecież nie walny sejm. Rozdział na pojedyncze grona jest konieczny, jest jedynym sposobem porozumiewania się wzajemnego, nie jest brakiem jedności. Tak jest w Warszawie — i bodaj wszędzie między młodzieżą taka organizacya była. Byle tylko pojedyncze grona z sobą się znosiły.

Podróżnik żądając bezwzględnej jedności, zaprzecza jednak sam sobie, lekceważąc Towarzystwo wzajemnej pomocy założone w Krakowie. Nie przejrzał się widać bliżej towarzystwu, nie przejrzał się statutom, nie czytał przeszłych numerów „Czytelni.“ Przypomnę mu więc ztamtąd, że nie załatanie dziury na surducie jest towarzystwa celem. Towarzystwo pomocy wzajemnej przypuszcza bowiem już z góry solidarność i braterstwo, wymaga zgromadzeń ogólnych, obrad, wyborów, daje w miniaturze praktykę publicznego życia, wyrabia w młodych poszanowanie opinii publicznej, staje się greckim areopagiem i rzymskim cenzorem odnośnie do wszechnicy; a wreszcie będąc jedynem towarzystwem w którem młodzi i starzy jako honorowi członkowie zarówno udział mają, jest błogą przyszłej zgody rękojmią. Nie można zapomnieć, że i materyalna strona towarzystwa jest w ubogim kraju wielkiego znaczenia. Jeżeli podróżnik uczyć się jeszcze zechce, a przypadkiem pieniędzy nie ma, to może na śmiało i bez grosza do Krakowa przyjechać a najlepiej o braterstwie się przekona.

Niech podróżnik w końcu przypomni sobie, że towarzystwo rolnicze, ogniowe i t. d. także są materyalne tylko. Dlaczegóż więc margrabia minister tak się rozsierdził na warszawskie towarzystwo, że mu aż stołka przystawił?! Trzeba pomyśleć trochę! Nie od razu Kraków zbudowany, i nikt się upierać przy tem nie będzie jakoby już wszystko było zrobione i najlepiej do tego. Wtedy tylko [illegible] co jest burzyć się godzi, jeżeli się jest w stanie natomiast coś lepszego podstawić. W każdym razie jednak bezpieczniej po schodach do nieba się podnosić, niż chcieć skoczyć od razu nie mając anielskich, lbo przynajmniej orlich skrzydeł.

Tyle polemiki — teraz chłosta.

Z kąd podróżnik ma prawo wykrzykiwać: Kiedy przed niedawnym czasem rozpędzano wam braci — cóżeście zrobili dla nich? zkąd pytam się? Co zrobili nie mam potrzeby rozpisywać się. Wystarczy jeżeli jako jeden z mocno interesowanych w tej sprawie odpowiem za zaczepionych — bo ich własna obrona wyglądałaby na chwalbę — tylko tyle, że z pewnością nie czekali, aż im podróżnik ich obowiązki przypomni!

Trzeba pomyśleć, a nie będzie się bąków strzelać. Kochany i zacny podróżniku, mniejsza zresztą o to wszystko, boć przecież i na słońcu są plamy, tem więcej uderzające, że na słońcu. Ale powiedz mi jak mogłeś wypuścić z ust twoich taką blageryą śmieszną o pogardzie biedniejszego kolegi? Na to nie mogę znaleść sobie odpowiedzi.

Radzę ci jednak skoro masz jak widzę chętkę do moralnej chirurgii, przyjedź do Lwowa. Tu będziesz mógł na akademią w ogóle djablo wymyślać. Jeden z moich niedawno przybyłych kolegów pomrukuje ciągle o tem, że trzeba reformę z gruntu zacząć! . . .

Ciskam tę negatywę ogólnikową jako pierwsze wrażenie. Może wywołam spowiedź albo apologią. Jeżeli nie, a to jużcić chyba trzeba będzie wziąść się do roztrząsania sumienia, żądać skruchy i stosownej poprawy i przepisać warunki potrzebne do osiągnienia rozgrzeszenia. Nie potępiam jednak — wymyślam tylko. Może bez zasady, może to zgryźliwość pierwszego wrażenia po zobaczeniu S. Jura zamiast Wawelu, a Pełtwy zamiast Wisły. Nie wiem jeszcze . . . *A. S.*

× Donoszą nam listownie z Krakowa, że osieroconą po zgonie śp. profesora Kopczyńskiego katedrę medycyny sądowej i policyi lekarskiej objął zastępczo, zgodnie z wnioskiem wydziału lekarskiego, p. Julian Łucki Dr. Med. assystent przy gabinecie anatomicznym, a to wbrew zabiegom, jakie p. Kryda w tym celu u radzcy nadwornego p. Helferta w Wiedniu poczynił; zaś katedrę matematyki wyższej i dyrekcyę Obserwatorium astronomicznego obejmie niebawem, po ustąpieniu pana Weisse, rodowitego Wiedeńczyka, p. Karliński, uczeń Uniwersytetu Jagiellońskiego, dotychczasowy adjunkt przy obserwatorium pragskim.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Wyszedł już pierwszy numer pisemka: **Przyjaciel dzieci** i zawiera: Artykulik wstępny z napisem: *Kochane dzieci!* — *O grzecznym i bojaźliwym Władziu.* — *Dobry staruszek* (wiersz) — *Napady tatarskie* (z drzeworytem) *Lipa.* Wszystkie te artykuliki napisane są odpowiednio i dobrze zastosowane do pojęć dziecinnych, a i powierzchowność dziennika nie pozostawia nic do życzenia. Obrazek pod tytulikiem i drzeworyt o hetmanie Koniecpolskim, rysowane przez jednego z malarzy naszych a rznięte w Wiedniu, bardzo są dobre, lepsze aniżeli w dotychczasowych pismach naszych przyzwyczailiśmy się oglądać — a kto zna koszta podobnego wydawnictwa, to i prenumeratę roczną 4 zł. 40 ctw. znajdzie dosyć umiarkowaną. — Życzyćby należało,ażeby pisemko to tak starannie rozpoczęte znalazło jak najliczniejszych prenumeratorów i mogło się utrzymać.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.